

ZYGMUNT CELICHOWSKI*

WSPOMNIENIA WNUKA

PROWENT

W połowie mniej więcej drogi z Kórnika do Bnina jest, albo był, Prowent, w latach mojej wczesnej młodości 1918-1923 [...] nie był to już folwark zamkowy, ani ośrodek administracyjny. Był tam skromny, stary domek, w którym mieszkał z rodziną Zygmunt Celichowski, mój dziadek [...]. Obok domu Celichowskiego były domki służby, piękny, mały dworek „Pod kasztanami” w stylu klasycznym, bez czynnej kuchni, czy innych ubikacji gospodarczych, za mojej pamięci służący jako dom gościnny i kwatera mojego stryja Stanisława, najmłodszego i dożywotniego kawalera. Nie często go tam widywałem, najpierw był w Powstaniu Wielkopolskim, a potem w budującej się administracji polskiej w Wielkopolsce. Mieszkał w tym okresie razem z nami na „województwie” w Poznaniu, gdzie mój Ojciec, jako wojewoda, miał ogromne służbowe mieszkanie, całe piętro w pojezuickim gmachu przy Farze.

Był też na Prowencie duży spichlerz, nie używany, w którym wybijaliśmy z kuzynami szyby, naszym zdaniem niepotrzebne. Ten spichlerz w latach dwudziestych został przebudowany na budynek administracji Fundacji Kórnickiej i mieszkanie jej administratora, zwanego naczelnikiem. Były też w pobliżu stajnie na kilka koni, wozownia, drewnik, kórniki – wszystko mające specyficzny wygląd i chyba zapach XVIII stulecia. Nad jeziorem była drewniana łaźienka pod dachem, z podłogą. Tam w upalne lato chodziły się kąpać damy ubrane w czarne szaty okrywające je od głowy do stóp. Tam też pobierałem pierwsze lekcje pływania, to znaczy wrzucono mnie z mostku do jeziora. Mojego Dziadka nigdy tam nie widziałem, miał już ponad 70 lat i nie miał czasu na takie frywolności. Był też schorowany, bo już w styczniu 1923 roku zgnębił go rak.

W domkach na Prowencie mieszkała służba: Józef Nowak woźnica z rodziną, Kaźmierczakowa (po poznańsku Kaźmierczaczka się mówiło), drwał Kuba, woźnica nadleśniczego Konieczny i jeszcze może inni, których sobie nie przypominam.

* Zygmunt Celichowski (ur. 24 XI 1914 r. w Poznaniu – zm. 24 IV 1994 r. na Florydzie). Był synem Witolda i Anieli z Drogowskich. Dzieciństwo spędził u rodziny w Kórniku, Dziećmierowie, Celestynowie, Szczodrzykowie. Uczęszczał do Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu (1924-1936); studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim (1932-1936); służbę wojskową odbył w Dywizjonie Artylerii Przeciwlotniczej (1936-1937). Aplikację adwokacką zaliczył u ojca i stryja Stanisława; na studia doktoranckie udał się do Paryża. W czerwcu 1939 r. przebywał na Wystawie Światowej w Nowym Jorku, skąd powrócił do Europy. Po klęsce Francji przedostał się do Anglii. W 1943 r. walczył na Bliskim Wschodzie; następnie był drugim oficerem Sztabu Pierwszej Dywizji Pancerniej gen. S. Maczka; uczestniczył w kampaniach we Francji i Belgii. Otrzymał honorowe obywatelstwo Bredy. W 1948 r. został zdemobilizowany. Wyjechał do Kanady, gdzie prowadził praktykę adwokacką.

Żywy inwentarz składał się z dwóch koni w podeszłym wieku, siwka i karego, kozy, która dostarczała dla dzieci wspaniałego mleka, jakiejś tam świnki i sporej ilości drobiu mojej Babci. Mój Dziadek często jeździł do Poznania (23 km), zawsze końmi, przeważnie „budką”, czyli krytym powozem, o silnym zapachu cygar. Podróż trwała średnio 1 1/2 godziny. Powóz Józef wpychał do sieni Pałacu Działyńskich, a konie miały stajnię w suterenie, do której wchodziły ciemnym, długim korytarzem. W tych czasach komunikacji autobusowej nie było, a z Kórnika do stacji kolejowej był szmat drogi. Od czasu do czasu podróż taką odbywałem z moim Dziadkiem, sam na sam. Bardzo go kochałem i w czasie drogi odbywaliśmy poważne rozmowy. Był on dla mnie uosobieniem dobroci i mądrości.

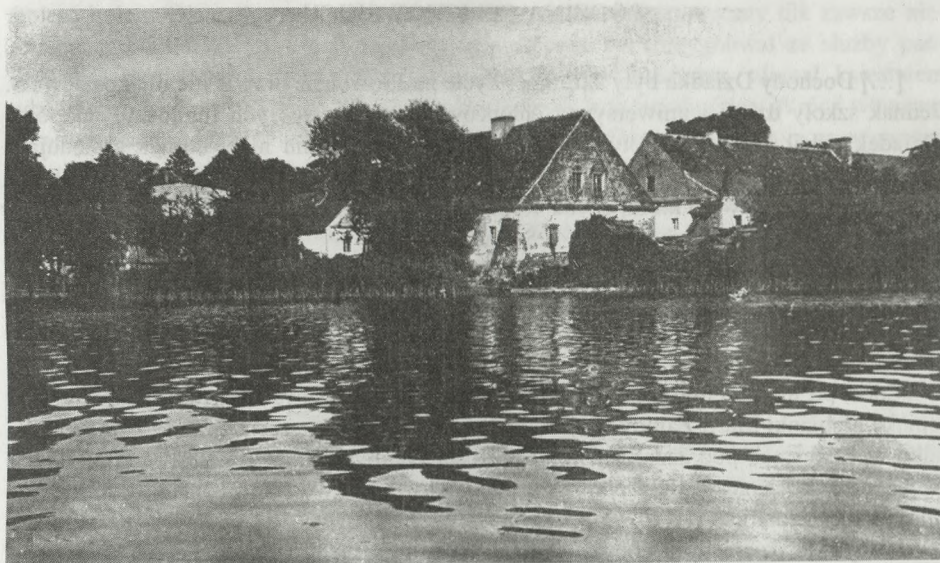
Żeby uzupełnić obraz Prowentu dodać należy, że należał do parafii w Bninie, gdzie był piękny gotycki kościółek zniszczony w czasie działań wojennych w 1939 roku. Była to parafia „biskupów”, wyszli z niej późniejsi biskupi Okoniewski, Lisiecki i Łukomski. Ja już sobie przypominam tylko ks. Janasika, zapalonego myśliwego.

Jednak do kościoła chodziło się częściej do Kórnik, gdzie Dziadek miał „hrabowską” lożę na pierwszym piętrze po prawej stronie ołtarza. Wchodziło się po schodach przez drzwi zamykane na klucz. Do kościoła chodzili wszyscy. Osobiście, muszę się przyznać, w kościele bardzo się nudziłem, czekając kiedy organy zaczną głośno grać, co oznaczało wyjście na wolność. Nic nie rozumiałem o co chodzi w kościele.

Dom na Prowencie, w którym mieszkali moi Dziadkowie, był bardzo mały, ale za to przytulny. Przez oszklony ganek wchodziło się do sieni, ciemnej i chłodnej. Wprost z sieni były drzwi do kuchni, domeny mojej Babci, zwanej Busią, po prawej stronie był salon, dość obszerny, za mojej pamięci tylko raz używany: stała tam trumna Dziadka na katafalku. Pewnie byłem za mały, żeby brać udział w przyjęciach w salonie, jeżeli w tym czasie takowe się odbywały. Pamiętam jednak XIX-wieczne wiktoriańskie meble, obite czerwonym pluszem. Dla dzieci wstęp do salonu był wzbroniony, zresztą nie mieliśmy w tym kierunku zainteresowania, bo nie było tam nic dla nas ciekawego. Żadnych obrazów nie przypominam sobie.

Z sieni przez drzwi po lewej stronie, wchodziło się do dużego pokoju, który był jadalnią i zarazem pokojem mieszkalnym. Był on duży, bo przy stole wigilijnym zasiadało ze dwadzieścia osób. Urządzenie było bardzo proste. Wisiały tam dwa portrety: jeden pradziadka Antoniego Celichowskiego. Z jadalni prowadziły drzwi do małego pokoju, z widokiem na jezioro, z którego znowu po dwóch schodach wchodziło się do kuchni. Aczkolwiek mały pokój był domeną dzieciarni, to do kuchni był wstęp dla nas surowo wzbroniony. Było też przejście do bardzo prymitywnego ustępu, klozetu jak się mówiło, gdzie wodę zastępował torf. Wody bieżącej w domu nie było, ogrzewanie stanowiły ogromne piece kaflowe, opalane drzewem, które rąbał Kuba. Z małego pokoju wchodziło się do obszernej sypialni Dziadków. Domek ten był bardzo ciepły zimą. Miał grube ściany i podwójne okna, między które na zimę wkładano mech dla izolacji.

Do starego domku przylegała dobudówka, przypuszczalnie skonstruowana dla pomieszczenia powiększającej się rodziny. W tej części domu była też pracownia mojego Dziadka, przylegająca do jadalni. Było tam duże biurko, czy stół, wszystko zavalone papierami i książkami. Pokój ten pachniał cygarami. Przypominam sobie piękne pudła cygar, które mój Dziadek bardzo lubił, a które dostarczał głównie mój Ojciec. Dziadka przypominam sobie zawsze z cygarem, przeważnie wygasłym. Nosił czarny tużurek z kamizelką zapinaną na małe guziki. Cały strój był przyprószony popiołem z cygar. Dla mnie był to inny, egzotyczny świat, bardzo przyjemny i przytulny, po zimnych komnatach na „województwie”, które w nocy napawały mnie lękiem.



Prowent w okresie międzywojennym

W przybudówce do starego domku, na pierwszym piętrze, a pewnie i na parterze, były pokoje sypialne. Rzadko tam spaliśmy, bo zwykle były zajęte przez ciotkę Emilię (Mile) Ziółkowską i trzech moich kuzynów i kuzynki. Przeważnie na noc wracaliśmy do Poznania, bo Ojciec był bardzo zajęty jako wojewoda, a samochodem nie było to daleko. Często też zatrzymywaliśmy się na noc w Dziecmierowie u wujostwa Tadeuszów Ruczyńskich.

Koło domku na Prowencie był stary, wąski ogród wzdłuż jeziora. Były tam szpalery bukszpanowe, które nadawały specyficzny zapach. Ogród, jak i obszerna altana były bardzo zaniedbane. Ogrodnika nie było, a służba tylko nieodzowna. Dzieci od wielu lat były poza domem, a Dziadkowie już w podeszłym wieku i bardzo zajęci pracą. W ogrodzie buszowały tylko dzieci i piesek Miluś bardzo mieszanej rasy. Wyżłów nie było [...] Z Prowentu do parku wchodziło się przez furtkę zamykaną na klucz, po przeciwnej stronie drogi do Bnina. Dla nas, dzieci, park był rajem pełnym czarów. Uczono nas od małości nazw drzew i ptaków, których w parku było mnóstwo. Dziś, kiedy odwiedzam Kórnik, zawsze w parku spędzam kilka godzin i odszukuję stare ogromne drzewa, pamiętne jeszcze z czasów dzieciństwa, szczególnie tulipanowce i sławne „gruszki na wierzbie” rosnące koło fosy otaczającej Zamek. Nigdzie wilgi tak nie śpiewają jak w parku kórnickim.

Dziadek napisał nawet książeczkę o parku i jego drzewach wykazującą niepospolitą znajomość przyrody, jak na historyka. Przejął to po nim syn Stanisław, w młodości zapalony zbieracz motyli, a później rybak i myśliwy – filozof. Młodsze, moje pokolenie, też było wychowane w szacunku dla przyrody, co mi pozostało na całe życie.

W parku był stary budynek, zwany „biblioteką”. Za moich czasów był w złym stanie fizycznym i wewnątrz groził zawaleniem. Dlatego wstęp do „biblioteki” był dla nas wzbroniony. Obecnie budynek ten jest odnowiony i bodaj służy dla użytku pracowników Arboretum, a jest ich kilkudziesięciu [...]

RODZINA CELICHOWSKICH

[...] Dochody Dziadka były skromne. Życie na Prowencji prawie nic nie kosztowało. Jednak szkoły dzieci i uniwersytety chłopców wymagały sporych funduszy. Jak sobie Dziadek radził, mało wiem, tylko tyle, że nabył w Poznaniu mały domek sąsiadujący na Wielkich Garbarach z Gimnazjum św. Marii Magdaleny. Tam gospodarowała siostra Babcia, nie jesten pewien która, chyba Walka, późniejsza Błaszykowa, żona nadleśniczego rodem z Czmonia między Bninem a Śremem.

Babcia z Prowentu dosyłała wiktuały; w okresie polowań dziczyznę i zające z lasów kórnickich. Ojciec mój do końca życia nie lubił zające, bo na Garbarach zając był w sezonie pięć razy w tygodniu na obiad, czy jako pasztet. Ogród Prowentu dostarczał jarzyn i owoców. Były też kury i inne indyki hodowli domowej.

Córki po ukończeniu pensji w Poznaniu (pewnie u „Danyszki”), dostawały się pod opiekę hrabianki Marii Zamoyskiej i szły do szkoły gospodarstwa domowego w Kórniku albo w Kuźnicach pod Zakopanem, posiadłości Zamoyskich. Wyjeżdżały też na dalsze nauki do Paryża, gdzie były pod opieką generałowej Jadwigi Zamoyskiej. Synowie do Paryża nie jeździli.

Wszystkie dzieci były dobrze wychowane w miłości rodzinnej, ale też w wielkiej dyscyplinie. W późniejszym życiu dobrze sobie dawały radę. Dwie córki dzięki gospodarności mężów i własnej pracowitości i zaradności były w 1939 r. zamożne.

Dziadek był niezwykle pracowity. Obok pracy w Bibliotece i działalności wydawniczej, co już dziś jest nieźle udokumentowane, zarządzał kluczem dóbr kórnickich i ogromnymi obszarami w Tatrach, administrowanymi z Kuźnic. Tam często jeździł i miał pomieszczenie w dyrektorówce, a jadał w szkole gospodarstwa domowego panny Marii Zamoyskiej. Synowie jeździli tam na wakacje, specjalnie Witold i Stanisław, byli miłośnikami Tatr, czego we mnie nie zdołali wpoić. [...]

[...] Życie rodzinne pochłaniało resztę czasu. Dom na Prowencji był ośrodkiem życia całej licznej rodziny, która gromadziła się niemal w komplecie, przy stole wigilijnym.

Za mojej pamięci jedyną „frywolną” używką Dziadka było polowanie, jeżeli siły i czas na to pozwalały. Dawniej polował Dziadek więcej, jak to wskazywały wieńce ustrzelonych jeleni. Ta pasja przeszła na synów Witolda i Stanisława i na mnie. W rodzinie Celichowskich, wydaje się, uzdolnień artystycznych nie było, poza Kazimierzem, który fotografował, trochę malował i grał na fortepianie. Za to nie polował wcale.

Wracając do polowania – to jest to moje ostatnie bardzo żywe wspomnienie ukochanego Dziadka. W Wielkopolsce na wsi była tradycja, że w Wilię rano urządzano „małe polowanko” na zające, tak zwaną „klaperkę”. Panie bardzo to ceniły, bo pozbywały się z domu panów zawadzających przy przygotowaniach do Wilii. W klaperce udział brali tylko „domowi” i może jakiś najbliższy sąsiad, tak 5-6 flint, dwa-trzy kotły, bez tradycyjnego śniadania, bo był post wigilijny. Był to dzień wigilijny 24-go grudnia 1922 r. „Klaperka” była u Tadeuszów Ruczyńskich w Dziećmierowie, 3 kilometry od Kórnika. Dziadzio, już bardzo słaby i pochylony, powierzył mi, a miałem dokładnie 8 lat i 1 miesiąc, szaczną funkcję noszenia przy nim torby z nabojami.

Wieczorem była ostatnia Wilia z Dziadkiem na Prowencji, a za miesiąc zgnębił go rak wątroby, 23 stycznia 1923 r.

To Boże Narodzenie było również pamiętne jako zwrotny punkt w karierze mojego Ojca i w życiu mojej rodziny. Ówczesny premier generał Władysław Sikorski, przeniósł Ojca ze stanowiska Wojewody Poznańskiego na Śląsk na opróżnione województwo przez

śmierć kolegi Ojca, Rymera. Sposób przeniesienia, charakterystyczny dla zawsze nie-taktownego Sikorskiego, uraził Ojca do tego stopnia, że zrezygnował ze służby państwowej, mimo tego, że województwo śląskie było awansem, niemal księstwem udzielnym, mimo też nalegań Wojciecha Korfatego, przyjaciela Ojca. Wrócił wtenczas do praktyki adwokackiej w Poznaniu, w spółce z bratem Stanisławem, który zrezygnował z kariery administracyjnej i opuścił stanowisko w Ministerstwie b. Dzielnicy Pruskiej.

Spadek po Dziadku był niewielki. Najcenniejszy był jego osobisty księgozbiór zawierający sporo bardzo wartościowych pozycji. Razem chyba nie więcej niż 3 000 tomów. Synowie przekazali ten księgozbiór na mnie. Znajdował się do wojny w 1939 r. w mieszkaniu moich Rodziców przy Ogrodowej 11 w Poznaniu. Ojciec zamówił specjalne szafy i półki. Wszystko przepadło w czasie wojny, bodaj spaliło się, według moich informacji, w 1945 r.

Pozostało też gospodarstwo na Ratajach pod Poznaniem, zdaje się około 30 morgów magdeburskich. Nie miało to w roku 1923 większej wartości i rodzina postanowiła nie sprzedawać. Dzierżawca płacił tenetę dzierżawną, która była przekazywana tym, którzy potrzebowali. Wszyscy słusznie spodziewali się, że te grunta kiedyś będą miały dużą wartość. Po wojnie, w czasie której cała rodzina wszystko straciła, grunta te zostały sprzedane i uzyskane fundusze rozdzielone na członków rodziny, którzy byli w potrzebie. Pisano mi, że było to dużą pomocą. Po śmierci Ojca w 1944 r. część spadku i na mnie przypadła. Mieszkałem wówczas w Londynie i swego udziału zrzekłem się aktem notarialnym.

Według moich informacji, nie wiem czy ścisłych, Dziadek kupił to gospodarstwo za pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu na Wielkich Garbarach, który stał się niepotrzebny, kiedy wszystkie dzieci ukończyły szkoły w Poznaniu.

Dodać jeszcze muszę, że osobiście odziedziczyłem mały, bardzo stary, olejny obrazek św. Zygmunta, malowany na drzewie. Był rzekomo pochodzenia czeskiego, wisiał nad łóżkiem Dziadka na Prowencie, a potem stał oparty o Jego trumnę w salonie. Mnie też przypadło piękne, antyczne łóżko orzechowe, na którym Dziadek umarł, a potem ja je używałem, kiedy mieszkalem z rodzicami na Ogrodowej. Św. Zygmunt wisiał nad moim łóżkiem. Wszystko to przepadło, podobno spaliło się, w czasie wojny w 1945 r. Rodzice opuścili Poznań we wrześniu 1939 r.

Po pięćdziesięciu latach z górą pracy z wielką ofiarnością w służbie Działyńskich, a potem Zamoyskich, Dziadek nie zostawił żadnego zaopatrzenia dla swej żony. Pewnie liczył, że Zamoyscy sami to uregulują. Tymczasem stało się inaczej. Po półwieczu usunięto Babcie z domku na Prowencie w obcesowy sposób, nie dając jej żadnego zaopatrzenia wdowiego.

W 1923 r. nikt w rodzinie nie był zamożny. Ojciec mój i Stanisław, po wyjściu ze służby państwowej, rozpoczęli praktykę adwokacką w ciężkich warunkach. Babcia zamieszkała u syna Stanisława, kawalera, bardzo kochanego „benjaminka”, w skromnym mieszkaniu przy Półwiejskiej nr 2 w Poznaniu. Nie była tam szczęśliwa po całym życiu na wsi, na swoim gospodarstwie. Władysław Zamoyski okazał się i w tym wypadku skąpcem, człowiekiem, do którego rodzina odniosła się słusznie z pogardą. Jest w moim posiadaniu część korespondencji między moim Ojcem a Zamoyskim odnośnie skromnego zaopatrzenia wdowiego dla mojej Babcie. Nie chcę tu wchodzić w dalsze szczegóły tej przykrej sprawy. Na usprawiedliwienie Zamoyskiego można tylko powiedzieć, że był człowiekiem chorym umysłowo.

Nie byłoby sprawiedliwe, żeby nie wspomnieć czegoś, co potomstwo Dziadka odziedziczyło po nim w spadku, to jest kultu dla języka polskiego. Wszyscy, nawet w młodszym pokoleniu, mówili poprawną polszczyzną i dobrze pisali po polsku. Jeszcze

dzisiaj w moim siedemdziesiątym roku życia po przeszło czterdziestu latach życia na obczyźnie, kiedy jestem w Polsce, spotykają mnie komplementy z tej racji. Błędy językowe były w rodzinie bezwzględnie tępone.

Jeżeli chodzi o sprawę języka polskiego, to może trzeba sięgnąć dalej. Mój pradziadek, Antoni Celichowski, był nauczycielem i autorem podręczników szkolnych nauki polskiego. Antoni Celichowski żył i pracował długie lata w Warszawie, gdzie mieszkał jego młodszy syn, Tadeusz z liczną rodziną. W późnej starości, kiedy miał chyba około osiemdziesięciu lat, Antoni przeniósł się na Prowent do syna Zygmunta. Podobno był utrapieniem mojej Babczi, bo lubił wszystko to, co dla starszego pana było zabronione, na przykład węgorza w galarecie, zakropionego! Umarł na Prowencie i został pochowany na cmentarzu przy kościele w Bninie, gdzie później został też pochowany mój Dziadek i Babcia spoczęła w roku 1928. Rodzina wystawiła kapliczkę cmentarną, którą projektował i wybudował zięć, Antoni Ruczyński. Kapliczka stoi, w dobrym stanie, w roku 1984. Jednak groby po wysadzeniu pięknego zabytkowego kościoła, zostały splądrowane przez Niemców w 1939 roku. Czaszkami młodzież niemiecka bawiła się w piłkę nożną. Po wojnie na probostwo bnińskie powrócił ks. Janasik. Zebrał on, przy pomocy parafian, porozrzucane kości i pochował w wspólnej mogile. Opowiadał mi o tym sam ks. Janasik, z którym byłem stale w korespondencji, a którego spotkałem krótko przed jego śmiercią w czasie mojej pierwszej po wojnie wizyty w Polsce we wrześniu 1976 roku.

Pradziadka Antoniego nie pamiętam. Umarł krótko po moim urodzeniu. Jednak przypominam sobie anegdoty rodzinne o nim. Zachował się portret jego pięknej sarmackiej postaci, z pucharem wina w ręku.

ZNAJOMI Z KÓRNIKA

Zacznę od „tubylców”. Celichowscy tubylcami nie byli. Mój Dziadek urodził się we Wronkach. Ale po pięćdziesięciu latach (co najmniej!) życia w Kórniku można się było uważać za Kórniczanina. Prawdziwi tubylcy, to byli ludzie od pokoleń żyjący w tym rejonie.

Na Prowencie żyło kilka rodzin: Nowakowie, Kaźmierczakowie, Łuczakowie, Konieczni i inni. Przy Zamku żyli ci związani z pracą w Zamku i w administracji. Najlepiej przypominam sobie Stanisława Małeckiego i jego syna Kazimierza, mojego rówieśnika. Na Prowencie była też gromadka dzieci w naszym wieku, z którymi bawiliśmy się. Nasz najlepszy przyjaciel to był Władek Nowak, obecnie stolarz, mieszkający w swym nowym, schludnym domku w Dziećmierowie. Atmosfera w tym otoczeniu była przyjazna, oparta na wzajemnym szacunku i zaufaniu. To samo było jeżeli chodzi o mieszczan Kórnika. Niektórych sobie dobrze przypominam: pan Dreczkowski, rybak, do którego z Poznania przyjeżdżali po wspaniałe sandacze na Wilię, Mioduszewski, krawiec, Król, dr Tłok, ojciec i syn też lekarz po ojcu, no i sławny wówczas już sędziwy ksiądz proboszcz Rybicki, tak zwany „Ryba”, o którym opowiadano liczne anegdoty. Kórniczanie zawsze byli pierwsi w walkach o niepodległość. Dlatego też Niemcy w 1939 r. „dla przykładu” rozstrzelali spore grono obywateli. To byli niezłomi Polacy.

Taką atmosferą żył Prowent i tak nas wychowano. Corocznie w Dzień Zadusznych jeździło się na groby rodzinne i Powstańców Wielkopolskich na cmentarzu kórnickim.

Dookoła Kórnika włościanie i ziemianie byli zrzeszeni w „Rolniku”, któremu zawsze Dziadek patronował. Inna grupa to byli leśnicy, tak zwani „borusy”, od pokoleń ludzie lasu. Z legendy tylko znałem nadleśniczych Rivolego (później jako profesora uniwersytetu spotkałem z Ojcem w Poznaniu) i Wyczyńskiego, sławnego grzybiarza.